

**MICHAŁ  
BAŁUCKI**

DOROŻKARZ

NR 13

Michał Bałucki  
**Dorożkarz nr 13**

«Public Domain»

## **Bałucki M.**

Dorożkarz nr 13 / M. Bałucki — «Public Domain»,

Tomasz, właściciel dorożki nr 13, nie ma powodzenia w swojej działalności. Ze względu na pechowy numer wszyscy unikają jeżdżenia jego dorożką, mimo że jest tak samo ładna i sprawna jak inne. Gdy urzędnicy wyśmiewają jego prośbę o zmianę numeru, Tomasz jest bliski zrezygnowania z zawodu. Wtedy poznaje lokaja pewnego bogatego pana, który poszukuje prywatnego dorożkarza. Od tej chwili dorożka nr 13 staje się najbardziej pożądaną w mieście, a sytuacja Tomasza zmienia się diametralnie. Dorożkarz nr 13 to nowela autorstwa Michała Bałuckiego, jednego z najsłynniejszych polskich autorów okresu pozytywizmu. Bałucki znany jest przede wszystkim jako powieściopisarz i komediopisarz, był również publicystą. W twórczości prozatorskiej odwoływał się do tradycji powstańczej, a także propagował idee pozytywizmu, jako autor dramatów nawiązywał do Aleksandra Fredry. Do jego najsłynniejszych utworów należą Dom otwarty i Grube ryby.

© Bałucki M.

© Public Domain

# Содержание

I	5
II	9
III	14
Конец ознакомительного фрагмента.	15

# Michał Bałucki

## Dorożkarz nr 13

### I

Ta trzynastka była dla niego fatalną. Każdy omijał dorózkę, na której tle czarnem, połyskliwym, wypisany był białą farbą ów nieszczęsny numer. Niejeden zapędził się do dorózki – już miał wsiadać, gdy naraz wyczytawszy numer, cofnął się jakby go coś odepchnęło i poszedł dalej szukać innej.

Nawet ludzie wolni od przesądów, gdy im wypadło jechać w jakim interesie, o którego powodzenie chodziło, albo w jakiej ważniejszej chwili życia, woleli zawsze wsiąść w każdą inną dorózkę, niż w trzynastkę. Mimowoli ulegali sile zakorzenionego w ich umyśle przesądu, któremu zdrowy rozsądek urągał. Chyba, że był kto tak roztargniony, iż nie zwracał uwagi na numer, albo gdy żadnej innej dorózki na placu nie było, wtedy dopiero w ostateczności brano tę trzynastkę, co się najczęściej zdarzało wśród ulewnego deszczu, lub późno w nocy. Brano ją także na pogrzeby, bo tam nieszczęsna trzynastka była całkiem na miejscu. Wobec grozy śmierci nikła i błada jej fatalność.

Dla koni było to bardzo wygodnie, bo sobie po całych dniach odpoczywały na placu, mając u pysków uwiązane torby z obrokiem, którym się raczyły dowoli, widząc, że im nikt nie przeszkodzi; ale dla właściciela dorózki, Tomasza Wali, nie była to wcale przyjemność, stać po próżnicy i wyczekiwać na gości, którzy się nie zjawiali, więc też, gdy inni dorożkarze głośno rozprawiali między sobą, albo dla nabrania humoru ciągnęli się wzajem naprzeciwko do szyneczku pod Kogutkiem „gdzie było piwo z dobrem wódkiem” i gęsina świeża – on siedział, jak mruk na koźle, zły i markotny. Na poczęstunki nie chodził, bo nie miał na to, żeby się odwzajemnić kolegom. Nieraz ślina mu szła do ust, gdy z pod Kogutka zaleciał zapach smarzonej kiełbasy, na kieliszek wódki przychodziła także nieraz ochota; ale się poskramiał, bo lichy zarobek nie pozwalał mu na takie przyjemności. Bywały dni, w których nie zbierał tyle, żeby wystarczyło na obrok dla koni i na wyżywienie domu. Gdyby nie Tomaszowa, która praniem zarabiała i ciułała grosz do grosza, to nie byłoby nieraz przy końcu kwartału czem zapłacić komornego i podatku.

Biedy Tomasz, przypisując owej nieszczęsnej trzynastce całe swoje niepowodzenie zdobył się na krok bardzo śmiały, jak na niego, bo poszedł do magistratu z prośbą o zmianę numeru. Ale panowie urzędnicy wyśmiali go tylko, a żądanie jego uważali za tak niedorzeczne, że przypuszczali, iż po pijanemu uroił to sobie i kazali mu iść wyspać i wytrzeźwić się.

Nie było więc rady pozbyć się nieszczęsnej trzynastki, chyba wyrzekając się całkiem dorożkarstwa. Tomasz i na to był już przygotowany. Miał zamiar rzucić zajęcie, które mu się tak źle opłacało, a wziąć się do czego innego.

Ale właśnie wtedy, gdy powziął rozpaczliwe postanowienie, szczęście nagle uśmiechnęło się do niego. Wszedł w znajomość z lokajem jakiegoś wielkiego pana; lokaj przy szklance piwa i pogawędce, gdy Tomasz, jak zwykle, zaczął narzekać na swoje psie nieszczęście, zaproponował mu zarobek duży, pod warunkiem, że się będzie z nim dzielił groszem.

– Pan mój – mówił mu – lubi mieć swojego własnego dorożkarza, coby od rana do późnej nocy był na jego usługi, na każde zawołanie. Nieraz trafi się, że konie wasze cały dzień nogą nie ruszą, a płatni będziecie, jak za jazdę, zarobek więc będzie niezły i pewny, bo pan jest bogaty i płaci hojnie; tylko nie trzeba wam tego mówić, ręka rękę myje – ja także potrzebuję żyć...

Tomasz, ma się rozumieć, przystał na propozycją dzielenia się zarobkiem. W jego położeniu i to jeszcze było nadzwyczajnym szczęściem. Bał się tylko, czy ów pan nie zleknie się owej trzynastki, ale mu lokaj powiedział, że wielcy panowie nie znają i nie mają takich przesądów, że jego pan jest tak bogaty i szczęśliwy, iż nie potrzebuje się obawiać nieszczęścia i gdyby nawet dowiedział się o

tej fatalności trzynastki, to umyślnie nie rozstawałby się z nią naprzekór przesądowi, aby pokazać ludziom, że sobie drwi z ich głupich przesądów.

I tak się stało w samej rzeczy. Ów pan Hulatyński jazdę doróżką, którą opinia uważała za przynoszącą nieszczęście, uważał za rodzaj sportu, który namiętnie uprawiał. Przez niego doróżka nr 13 stała się głośną i modną w wielkim świecie. Należało do szyku i dobrego tonu rozbijać się nią po mieście, i młodzi paniczykowie, tak zwana złota młodzież, szczególnie najmłodsza, która dopiero wchodziła w życie i chciała się pokazać, dobijała się do tej doróżki, gdy była wolną, co się zdarzało albo w czasie nieobecności Hulatyńskiego, lub przed południem, gdy się wysypiał po nocnych hulankach.

Tomaszowi aż w głowie się mąciło od tej nagiej zmiany losu. Nie tylko przez cały dzień miał zarobek pewny i stały, ale jeszcze i hojne datki na piwo sypały mu się obficie z rąk bogatej młodzieży i Hulatyńskiego. Hulatyński nie rachował się wcale z wydatkami i nieraz jak mu przyszła fantazja, pięć, dziesięć guldenów rzucił doróżkarzowi.

Prawdziwy deszcz pieniędzy sypał się na Tomasza, odurzonego tem swoim niespodziewanem szczęściem. Odpowiednio do dochodów i do stanowiska panów, z którymi teraz jeździł, odnowić kazał powóz, kupił lepszą parę koni, ubrał je w kolorowe siatki, w nowe szory, w buńczuki. Siebie także przystroił w liberyą z galonami, tak, że wyglądał nie na zwyczajnego doróżkarza, ale na hrabiowskiego stangreta. Już teraz byle komu nie pozwolił wsiadać do swej doróżki, i gdy się zbliżył jaki chudzina z zamiarem wsiadania, wręcz mu oświadczał, że nie pojedzie, bo zajęty. Powodzenie uczyniło go dumnym. A może też odplacał się ludziom za lekceważenie i niepowodzenie, jakiego przedtem doznawał.

Za to dla sprawcy swego szczęścia, Hulatyńskiego, był prawie z bałwochwalczem uwielbieniem. Gdyby był najsmutniejszy, najbardziej czem zagniewany, na widok jego rozjaśniał twarz opaloną, jakby ją wschodzące słońce oświetliło. „Jego pan” – bo tak go nazywał, – był dla niego wszystkim. Myślał tylko o tem, czem go uradować, jaką przyjemność ma sprawić. Dla niego umyślnie kazał wnętrze powozu wybić zielonem suknem, gdy się dowiedział, że ten kolor lubi. Woził go tak z ostrością, jak chorego albo dziecko, żeby przypadkiem o kamień nie zawadzić. Przy zmianie powietrza stawał od razu budę, zamykał okna, żeby wiaterek na niego nie wionął, albo deszcz go nie pokropił, a gdy go wysadzał z powozu, to tak delikatnie, z takim uszanowaniem, jakby bóstwo jakie. Nie pozwolił mu postawić nogi na stopień, dopóki go dobrze z błota, nie oczyścił, a gdy wypadło wysiadanie w miejscu błotnistem lub zawianem śniegiem, brał swego dobrodzieja, jak dziecko na rękę i przenosił na suche miejsce.

Hulatyński nazywał go idealnym furmanem, i odpowiednio do usług, wynagradzał z królewską hojnością; nie był on ani hrabią ani nawet baronem, ale żył jak prawdziwy magnat w zbytku i wygodach wszelakich, a pieniądze rzucał bez rachuby. Miał zachcianki wielkiego pana i tyle pieniędzy, że mógł najwybredniejsze zachcenia zaspakajać. Ceniono go na kilkakroć sto tysięcy guldenów. Nikt wprawdzie nie rachował jego fortuny, ale wnosząc z tego, jak żył, co wydawał, można było przypuścić wielkie dochody. Miał przy tem wykwintne maniere, znamionujące lepsze pochodzenie, mówił po francusku jak rodowity Francuz, był przystojny, wymowny, przyjacielski, wesoły, i te przymioty jednały mu serca mężczyzn i względy kobiet, a zarazem otworzyły drzwi salonów wielkiego świata, do których wszedł bez zakłopotania, z miną bywalca oswojonego z tego rodzaju towarzysztwem i czującego się na swoim miejscu.

Był tak „dobrze”, że świat wyższy uznał go za swego, choć pochodził tylko ze szlacheckiej rodziny, bo był gentlemanem w każdym calu, robił wszystko z „nonszalancyą” prawdziwie pańską i z wdziękiem salonowca. Nawet z wdziękiem grywał w klubie, gdzie go przyjęto jednozgodnie i gdzie bywał dość częstym gościem. Tak sobie nic robił z przegranej nawet większej sumy, tak nie znać było na jego twarzy z tego powodu żadnego wzruszenia, żadnej zmiany humoru, że najwytrawniejsi gracze podziwiali jego zimną krew i lekceważenie pieniędzy. Z tego powodu domniemywano się, że

w nim musi płynąć krew o wiele szlachetniejsza, niż ta, jaką mógł dostać po zwyczajnym szlagonie, – bo tak przegrywać może tylko pan z panów.

A trzeba dodać, że przegrywał dość często. Miało to oznaczać niby, że był szczęśliwym w miłości. Nie było w tym nic dziwnego. Uroda jego bowiem zwracała powszechną uwagę i damy w salonach przepadały za nim, począwszy od starych matron, w których ręce składał hojne ofiary na cele dobroczynne, aż do młodych mężatek, które czarował rozmową i spojrzeniem.

Tomasz mógłby coś więcej powiedzieć o tym szczęściu Hulatyńskiego, ale od niego nic się dowiedzieć nie można było, bo milczał jak grób i za nic w świecie nie zdradziłby tajemnic swego pana.

– Cóż mnie też to tam obchodzi! – odpowiadał przyparty nieraz natrętnymi pytaniami znajomych Hulatyńskiego, – jak się mój pan bawi i z kim się bawi! Panowie są zwyczajnie od tego, żeby się bawili, a my żebyśmy zarabiali.

Byli jednak tacy, którzy go wypatrzyli, że w ostatnich czasach miał romans z żoną jakiegoś agenta win francuskich, który z powierzchowności wyglądał jak czarny charakter, z prowincjonalnego teatru, a zazdrosnym był podobno, jak Otello o swoją żonę, blondynkę złotowłosą, co miała twarz wandyczkowską, a kształty piękności Rubensa. Gdy szła ulicą, co się rzadko zdarzało, ludzie stawali i oglądali się za nią. Opowiadano o jakimś podżyłym lowelasie, że zapatrzony w nią, nie uważał stojącego na ulicy nad rynsztokiem wózka, potknął się o niego, przewrócił i złamał nogę. W teatrze, gdzie także bardzo rzadko się ukazywała, lornety, jak armaty, kierowały się w jej stronę i ostrzeliwały ją ognistymi spojrzeniami. Ponury mąż miał dosyć powodów drzeć o swój skarb; więc też czarne jego oczy, jak dwaj niewolnicy, szły krok w krok za każdym jej spojrzeniem, ruchem, i pilnowały jej bacznie.

W jaki sposób Hulatyńskiemu udało się omylić czujność tych argusowych oczu i zaprzyjaźnić się z cudowną blondynką, to było dla wszystkich niewytłumaczone. Fakt jednak był, że się widywali w godzinach, w których męża obowiązki powoływały gdzieindziej.

Ktoś, zazdroszcząc zapewne Hulatyńskiemu szczęścia, zawiadomił męża anonimem o tych spotkaniach i wycieczkach za miasto. Mąż, rozumie się, pojechał w ślad za niewierną żoną i jej kochankiem... i – tu urywa się wszelki wątek dokładnych wiadomości, a zaczynają się najdziwniejsze pomysły. Mąż bowiem, wbrew oczekiwaniu wszystkich, zamiast zabić żonę lub Hulatyńskiego na miejscu, sam nazajutrz wyjechał z miasta, zostawiając żonę na wolę losu.

Hersz Lander, faktor i bankier złotej młodzieży, a tem samem znający wszystkie sekreta świata eleganckiego, utrzymywał, że mąż kazał sobie grubo za ustępstwo zapłacić (mówił coś o trzydziestu tysiącach), że Hulatyński nie mając na razie tyle gotówki, wystawił weksel, aby wyswobodzić ukochaną z rąk mściwego tyrańca, że tyran ów weksel zrealizował zaraz u jednego z bankierów, znajomego Hersza, gdzie go on widział na własne oczy, Ale mało kto wierzył temu gadaniu. Hersz, Żyd, geszefciarz, po żydowsku rozwiązał sobie cały zatarg, według własnych pojęć finansowych, to jest procederem wekslowym.

Po odwadze Hulatyńskiego spodziewano się innego rozwiązania. Przypuszczano pojedynek, nawet pojedynek amerykański, w skutek którego zapewne mąż wyjechał i zastrzelić się gdzieś musiał. Były to domysły tylko, które sprawdzić było trudno. To tylko było pewnem, że po zniknięciu zazdrosnego męża, zażyłość między jego żoną, a Hulatyńskim stała się jawną. Nie uważali teraz za potrzebne robić z tego sekretu przed światem ku wielkiemu zgorszeniu mam, które miały córki na wydania i liczyły na Hulatyńskiego za świetną partyą.

Te to damulki zapewne nasyłały mu bezimienne ostrzeżenia, żeby się miał na ostrożności i wycofał póki czas z sieci, które zastawiono na niego, że dama owa nie jest wcale żoną owego agenta win, ale awanturnicą, łapiącą niedoświadczonych ludzi na lep swoich wdzięków.

Hulatyński z drwiącym uśmiechem czytał te ostrzeżenia i rzucał je pogardliwie w ogień. Nie wywierały one na niego żadnego wpływu. Gorsze nierównie ostrzeżenia dawało mu jego własne serce,

stając się codzień chłodniejszym i obojętniejszym dla tej precudnej kobiety, której mu cały świat zazdrościł.

Dopóki była strzeżona przez męża, że ledwie kiedy niekiedy mógł ją widywać, dochodził prawie do szaleństwa; nie było ofiary, którejby nie poniósł, aby mógł tę kobietę nazwać swoją. Ale teraz, kiedy spełniły się jego marzenia, gdy ją mógł widywać bez przeszkód, być przy niej jak długo mu się podobało, spostrzegł ku wielkiemu swojemu zmartwieniu, że to była chwilowa namiętność, sztucznie podtrzymywana przeciwnościami, nie zaś miłość prawdziwa, że to kobieta o klasycznych kształtach i piękności bez zarzutu, robi na nim wrażenie posągu, z którym opatrzyć się można i patrzeć nań bez wzruszenia i zachwytu. Zaglądał do niej raczej z przyzwyczajenia, niż z miłości, a nie porzucał chyba tylko przez poczucie obowiązku, po swojemu tłumaczonego. On zwiczną życie tej kobiety, rozerwał związki małżeńskie łączące ją z mężem, a lubo ten mąż był nikczemnym, skoro się zdecydował na sprzedaż własnej żony (a więc wiadomości Hersza Laudera były prawdziwe), jednak wypadek ten osamotnił ją, i on jako sprawca tego, winien jej był opiekę.

Poczucie honoru i litość nakazywał mu udawać przywiązanie, zachować przynajmniej jego pozory. Umyślnie więc pokazywał się z nią publicznie, otaczał ją zbytkiem i przepychem, osypywał kosztownymi prezentami. Nawet mówiono, że zabezpieczył jej rentę dożywotnią na wypadek swej śmierci. Robił więc wszystko co mógł, aby wynagrodzić jej ofiarę, jaką poniosła dla niego, oddając mu swój honor, samę siebie z duszą i ciałem. Nie mógł tylko dać jej miłości swojej, bo tej nie czuł dla niej. I to go martwiło, bo za uczciwy był, by mógł zwodzić z lekkim sercem.

To go tylko pocieszało, że ona nie domyślała się wcale udawania z jego strony. Sam sobie nie umiał zdać sprawy z tego, czy jej spokój w tym względzie pochodzi ze zbytecznej wiary w niego, czy z braku myślenia i wszelkiego sprytu.

Dziwna to była kobieta, prawdziwy sfinks. Oczy jej ciemne, głębokie, rzucały blaski, które olśniewały, ale nie ogrzewały i nie rozpały. Mówiła mało i trudno było wyrozumieć, czy tak dużo myśli, czy tak mało ma do powiedzenia, – czy tak ostrożna w słowach, czy taka ograniczona w myślach.

Hulatyński bał się ją badać w tym względzie, by przypadkiem pod temi cudownymi wdziękami nie dojrzał płytkości tam, gdzie się głębi duszy domyślał. Chciał się łudzić jej wartością, aby mógł ją dłużej łudzić swem przywiązaniem.

## II

Była godzina druga po północy. Przed mieszkaniem Hulatyńskiego czekała jak zwykle, doróżka nr 13-ty, rzucając na bruk ulicy wachlarzowate promienie światła z latarni. Pomiedzy latarniami w ciemności drzemał na koźle Tomasz, a konie zmęczone całodzienną jazdą, drzemały także, zwiesiwszy łby na dół. Czasem tylko przestępując z nogi na nogę, uderzały kopytami o kamienie, a łoskot tego uderzenia rozchodził się echem po całej ulicy.

Pokoje Hulatyńskiego na pierwszym piętrze były rzęsiście oświetlone. Spóźniony przechodeń byłby przysiągł, że tam jakaś większa zabawa się odbywa. Tak często bywało, że w pokojach tych bankietowano do rana. Hulatyński miał dużo przyjaciół – i lubił ich raczyć u siebie. Wczoraj dopiero był wspaniałą bankiet.

Dziś jednak pomimo rzęsiściego oświetlenia, pokoje były puste. Hulatyński sam jeden przechadzał się po nich, jakiś dziwnie zamyślony i poważny, co mu się rzadko zdarzało. Otwierał różne szuflady, schówki, wyjmował z nich świstki, listy, kawałki papierów, fotografie, – przeglądał to wszystko, potem darł w kawałki, miął w rękę i rzucał do kominka, na którym płonął jasny ogień.

Niekiedy zatrzymywał się dłużej przy ogniu, przypatrywał się w głębokiej zadumie, jak płomienie obejmowały węzowemi skrętami różnobarwne papiery zapisane, jak wyginały się w palących uściskach płomieni, czerniały i ulatywały w górę, ozłoczone po brzegach iskierkami ruchomymi i niknęły w ciemnym otworze kominka. Potem wracał znów spokojny do szuflad otwartych, powtarzając tę samą czynność z innymi papierami.

Wypróżniwszy w ten sposób szuflady biurka, komody, szafy, przejrzał raz jeszcze wszystkie schówki i spojrzął w około, jak człowiek kończący ciężką pracę.

Odetchnąwszy ciężko, powiedział sobie:

– Tak, – to już wszystko...

Zmęczony usiadł, aby odpoczywać. Wyjął pugilares z bocznej kieszeni, wydobyl z niego kilka banknotów po sto reńskich, przeliczył je i schował napowrót, zatrzymując w rękę jeden, który zwinął i włożył osobno do kieszeni od kamizelki.

Po chwili wstał, poszedł do szafy stojącej w głębi pokoju, nacisnął sprężynę wieka i wyjął ze skrytki pudło w safianowej oprawie, w którym na atlasowem miękkim pościelaniu połyskiwały błyszczące lufy pistoletów.

Wziął jeden z nich do ręki, potem drugi, – oglądał je po kolei, próbował kurki, dmuchał w lufy, ważył w rękę, jakby wahając się niezdecydowany, który ma wybrać. Nareszcie wybrał jeden, nasypał prochu, wpuścił do wnętrza ołowianą kulę, przybił mocno pakułami i pistolet włożył w kieszeń surduta. Safianowe pudełko zamknął, postawił na dawnym miejscu i zatrasnął napowrót wieko od skrytki.

Dokonawszy tych czynności, obejrzał się raz jeszcze po pokoju, jakby się namyślając, czy czego nie zapomniał, jakby żegnając wzrokiem ściany i sprzęty, wśród których przeżył tyle chwil przyjemnych i wesołych. Wspomnienia te zatrzymały go dość długo. Potrzebował pewnego przymusu, aby się rozstać z nimi. Na koniec prędkim krokiem wyszedł do przedpokoju.

Zaspany lokaj Franciszek zerwał się na równe nogi, i machinalnie, jeszcze nie zupełnie przytomny, podał mu palto.

– Czy jasny pan prędko wróci? – zapytał wychodzącego.

– Nie prędko. Zgaś światło, i możesz położyć się spać.

Lokaj sprowadził go na dół z świecą i otworzył bramę.

Zgrzyt klucza w zamku obudził śpiącego doróżkarza, który coprędzej sściągał lejce i poprawił się na koźle.

– Na Starowiślną, – rzekł Hulatyński, siadając do doróżki.

Tomasz nie potrzebował bliższego objaśnienia. Wiedział, że na tej ulicy mieszka owa piękna pani, z którą pan jego się spotykał. Znał on niektóre szczegóły z tej sprawy. Podobne rzeczy, gdyby się przytrafiły w niższej klasie, gorszyły by go niesłychanie; ale dla panów Tomasz miał inną miarę sądu. Nie dziwił się więc niczemu, nie gorszył się niczem, i był ślepy i głuchy na wszystko, co widział i słyszał.

Zaciał konie, i powóz potoczył się z turkotem po bruku, rzucając w przelocie światło latarni na zamknięte bramy kamienic i spóźnionych przechodniów.

Na Starowiślniej zatrzymał się przed jedną kamienicą, w której na pierwszym piętrze widać było światło za zielonemi storami.

Hulatyński wysiadł spiesznie, wyjął klucz z kieszeni i zbliżył się do bramy. Nie otworzył jednak, i po chwilowym namyśle, schowawszy na powrót klucz do kieszeni, wrócił do doróżki.

Nie poszedł na górę, choć wiedział, że czekano tam na niego. Nie wiadomo, czy sobie, czy komu innemu chciał oszczędzić przykrości pożegnania.

– Gdzie mam jechać, proszę jasnego pana? do resursy?

– Nie. Jedź przez Wiślną za miasto – rzekł otulając się w palto, bo wiatr chłodny pociągał od rzeki.

Tomasz widząc, że się na dalszą jazdę zanoszą, postawił budę, zamknął okna i puścił konie galopem.

Noc była ciemna wilgotna, niebo zakryte brudnymi chmurami, na polach tu i owdzie leżały jeszcze śniegi i bielili się wśród ciemności, jak płachty porozrzucane; wiatr szumiał gałęziami drzew stojących przy drodze. Hulatyński w pół leżąc puścił wodze myślom, które błakając się samopas, cofnęły pamięć jego do czasów pierwszej młodości, gdy jeszcze jako dzieciak wychowywał się w towarzystwie bon Francuzek i Niemek. Matkę pamiętał bardzo mało, odumarała go wcześniej. Ojciec nie zajmował się nim wiele, bo rzadko przebywał w domu, chyba gdy goście zjechali się do niego. Wtedy było huczno, wesoło, bo ojciec lubił się bawić. Tam tylko jeździł, gdzie mógł wesoło czas spędzić, z jarmarku na odpust, z imienin na wesele, to znowu za granicę do wód. Raz tylko dłuższy czas przez – parę miesięcy siedział w domu. Było to w czasie, gdy przywiózł dla syna nową bonę Francuzkę, z zadartym noskiem, jasnymi krętymi włosami i figlarnym uśmiechem.

Hulatyński, choć dziecko wtedy, zauważył, że miała oczy jakby z bławatków wykrojone, a rączki małe, delikatne w dotknięciu, jak listeczki, i drobne paluszki. Pamiętał dobrze te paluszki, bo się nimi nieraz przy lekcji bawił i całował. Co kilka dni widział na tych drobnych paluszkach nowe pierścionki, z najrozmaitszymi kamykami, które błyszczały jak gwiazdki. Później dowiedział się, że to były brylanty wielkiej wartości. Raz zobaczył u niej pierścionek, który widywał przedtem u ojca na małym palcu. Gdy jej zapytał, z kąd ten pierścionek wziął się u niej? – roześmiała się dziwnie, i powiedziała, żeby nie był zbyt ciekawym, bo nie urośnie.

Potem ludzie zaczęli mówić we dworze, że będzie miał nową mamę. Cieszył się bardzo z tego. Ale nagle pewnego dnia Francuzka wyjechała, nie pożegnawszy się z nim nawet. Płakał po niej, pobiegł do ojca z prośbą, żeby wróciła, co ojca w taki gniew wprawiło, że go wyrzucił za drzwi.

Następnie przypomniał sobie guwernera, także Francuza, którego sprowadzono dla niego, gdy miał lat szesnaście. Był to bardzo wesoły chłopak; śpiewał po całych dniach przeróżne zabawne piosenki, które mu łatwiej wchodziły w głowę niż nauka. Jeździł razem konno, polowali na różną zwierzynę, a dopiero w chwilach wolnych od tych zajęć coś tam czytali z historii lub z nauk przyrodniczych, więcej jednak romanse i powieści dla stylu i wprawy w języku.

Wesoły ów Francuz zawiózł go raz do miasta, żeby zobaczył cyrk. Młodemu chłopcu, który nigdy nie widział kobiet obnażonych, gorąco się zrobiło na ten widok. Goręcej mu jeszcze było, gdy się znalazł w towarzystwie tych dam po widowisku w restauracji. Wprawdzie były już wtedy ubrane, jak każda inna przyzwoita dama; ale Adaś – to było imię jego, – patrząc na nie, mimowoli uprzytomniał je sobie w myśli w kostiumach, w jakich je przedtem widział.

Często potem robił wycieczki do miasta, rozumie się w towarzystwie guwenera. Wesołe kobietki bawiły się nim wybornie przy kolacyjce, nazywały go swoim małym. Ale kolacyjki takie kosztowały nie mało i pensyjka, którą dostawał od ojca wnet się wyczerpała, o nową nie śmiał mówić. Francuz znalazł i na to sposób: powiedział mu, gdzie ojciec chowa klucz od pieniędzy, i wytłumaczył, że ani spostrzeże ubytku, bo tatko ma dużo pieniędzy.

Jakoż istotnie ojciec długo nie spostrzegął, a Adaś był kontent, że mógł wołyżerkom zaimponować. Szczególniej jedną, miss Betty, upodobał sobie najwięcej płacił jej długi, kupował branzolety, kolczyki, chciał nawet uciekać z nią na koniec świata. Nieszczęściem jednak ojciec spostrzegł znaczny ubytek pieniędzy i kosztowności, a doszedłszy kto mu brał pieniądze, na co i za czyją namową, Francuza wypędził, jego zaś oddał do Jezuitów na wychowanie.

Był tam lat parę i porobił znajomości z synami arystokratycznych rodzin, co mu później ułatwiło wejście w progi tak zwanego „wielkiego świata”. Od koleżków swoich nauczył się jeszcze więcej, niż od Francuza i miss Betty. Burzliwe życie zaprowadziło go następnie do zimnych wód na kuracyą. Ojciec jego zachorował także w tym czasie na jakąś chorobę nerek, która zakończyła się śmiercią. Synowi niepełnoletniemu wyrobiono pełnoletność i oddano majątek w ręce.

O tym majątku powtórne chodziły wieści. Wprawdzie w spisie notaryalnym figurowała tylko suma trzykrotnie pięćdziesiąt tysięcy, ale to był tylko majątek po matce. Starego Hulatyńskiego zaś nazywano powszechnie milionerem. Nikt nie przypuszczał, że hulaszczcze życie ojca pochłonęło ogromną fortunę, a młody spadkobierca był tyle próżnym, czy ambitnym, że nie zdradził tego sekretu przed ludźmi i pozwalał domyślać się Bóg wie jakich skarbów, odebranych ciepłą ręką od ojca.

Pochlebiało mu to, że uchodził za milionera, i zaczął żyć, jak milioner. A że procenta nie wystarczały na takie życie, więc co rok dobierał sobie z gotówki. W ten sposób majątek jego zmniejszał się co rok. Nie robił sobie nic z tego, i nie zmienił trybu postępowania, trzymając się zasady, że lepiej żyć krótko, a dobrze, niż długo a bylejak. Żył więc i używał nie rachując się z wydatkami.

Szalona hojność jego zwracała uwagę wszystkich, jednała mu przyjaciół, uwielbiany był bohaterem w swoim rodzaju, którego palcami wskazywano na ulicy, o którym dziwy opowiadano w salonie. Ta sława odurzała go i szalała jeszcze więcej. Ułożył sobie w myśli, że będzie tak żył dopóki będzie można, dopóki mu starczy na wszystko, a gdy cały majątek wyczerpie się do dna, wtedy nic życia się przerwie i *finita la comedia*. Skończy, jak meteor.

Teraz właśnie doszedł do takiej ostateczności.

Oprócz mebli, wartujących do sprzedania z parę tysięcy, miał całego majątku jeszcze tyle, że mógł zapłacić służbę, mieszkanie i wyprawić lukulusową biesiadę dla przyjaciół. O tej biesiadzie miejscowe gazetki rozpięły się szeroko, wygłaszając na rzecz jego szumne panygiryki, w których było o „iście staropolskiej gościnności”, „ucicie Wierzyńka” itd. Uczta owa odbyła się wczoraj, dziś po niej zostało mu w pugilarzesie zaledwie kilka setek. Z tych jedną odłożył dla dorożkarza za ostatnią jazdę w życiu; reszta miała wystarczyć na koszt pogrzebu.

Przygotował się do tego aktu z drobiazgową dokładnością. Popalił, jak widzieliśmy, listy, fotografie, rewers, aby śladu nie było jego interesów i stosunków; porozdawał kosztowniejsze cacka w upominku znajomym; przygotował nawet piśmienne zeznanie, że umiera z własnej woli, aby kogoś nie posądzono po jego śmierci. Nie wymienił tylko powodów, który go do tego skłonił, zostawiając ludziom szerokie pole do domysłów, Zeznanie to w kształcie listu miał przy sobie.

Wszystko było w porządku. Skończył rachunek z ludźmi.

Przechodząc myślą wszystkich znajomych, dziwił się sam sobie, że między nimi nie było ani jednej osoby, ku której byłoby mu tęskno w tej chwili, z którąby mu było żal się rozstać. Bawił się w ich towarzystwie doskonale, a jednak rozstawał się bez żalu, bo żadna nie zapisała się głębiej w jego pamięci i sercu.

Z całego życia hucznego hulaszczego nie zostało mu nic, coby było warte łzy, wspomnienia serdeczniejszego. Całe życie przebyte wydawało mu się dziwnie pustem, bez treści; dla tego rozstawał się z nim na zimno, delektując się myślą, że nie długo będzie koniec wszystkimu.

Zdrów i jeszcze pełen sił jechał na własny pogrzeb; w jednej osobie był sędzią, co podpisuje wyrok śmierci, katem, co wyrok spełnia i delinkwentem, na którym będzie spełniony.

Miejsce egzekucji wybrał za miastem, aby umrzeć bez świadków, aby nikt nie usłyszał ostatnich jego jęków, nie usiłował go ratować. Wszystko obmyślił na zimno, z odwagą żołnierza, idącego do boju. Śmiało spoglądał śmierci w oczy, bo życie nie miało już dla niego wartości po stracie pieniędzy. Nie było już czem podtrzymywać płomienia w pełnym blasku, więc należało go zdmuchać od razu, aby nie było swędu i długiego konania.

Upatrzył sobie od dawna na spełnienie tego czynu świerkowy las Bielański. Gdy więc dojechali do karczmy pod tym lasem, kazał woźnicy zatrzymać się i wysiadł.

– Masz – rzekł, wciskając mu w rękę banknot stureńskiowy. – Nie mam drobnych, – dodał szybko, widząc, że dorożkarz ze zdziwieniem spojrział na banknot przy świetle latarni. – Porachujemy się później.

– Karczma zamknięta, może zapukać? – rzekł Tomasz, gubiąc się w domysłach.

– Nie potrzeba – odpowiedział Hulatyński – i ty wracaj do miasta.

– Jakto? Jasny pan nie wróci?

– Wrócę później.

– To zaczekam.

– Głupiś, będziesz czekał do rana?

– A choćby. Jak pan każe.

– Ja ci każę, żebyś jechał, bo się nie doczekasz. Bądź zdrów!

Powiedział te słowa ostro, krótko aby przerwać od razu rozmowę, która go niecierpliwiła, – i puścił się ścieżką w głąb lasu.

Tomasz patrzył za nim, nie rozumiejąc nic z tego, co się działo. Wydawało mu się być dziwnem, że taki wielki pan wałęsa się po nocy w lesie, jak włóczęga.

– Skąd jemu to przyszło? – myślał sobie. – W tem jest jakaś nieczysta sprawa. Albo mu się rozum pomieszało?... Kto wie? – dodał z trwogą. – Wielkim panom od zbytków i dobrego jedzenia często się w głowie przewraca... Tylko on na waryata nie wyglądał.

Po chwili znowu zaczął mówić do siebie:

– Niech on sobie co chce mówi, ja taki zostanę. Jak mu zimno dokuczy, to on tu w dyrdy przyleci.

Przed karczmę nadciągnęli Żydzi, jadący na jarmark, zrobił się ruch, w oknach szynkowni błysnęło światło.

Tomasz wyjął worek z podsiedzenia, dał koniom jeść i poszedł do karczmy na kieliszek gorzałki dla rozgrzania. Nie mógł jednak dosiedzieć w izbie, niepokój o pana wyciągnął go znowu na drogę. Stał na ścieżce, wiodącej do lasu i nadłuchiwał, wpatrując się w ciemności.

Wiatr świszczął i gwizdał po lesie, uderzając co chwila nieodmknętą okiennicę na strychu karczmy, poruszał skrzypiącym żurawiem nad studnią. Chmury goniły się po niebie, jak duchy, odsłaniając kiedy niekiedy kawałek księżyca. Coś pogrzebowego i smutnego było w jego bladym połysku.

Tomaszowi aż się niedobrze zrobiło koło serca, jakieś dreszcze niemiłe zaczęły mu chodzić pod skórą.

– Gdzie to polazł na taki czas, na takie błoto? – mruzczał. – Ci panowie mają czasem dziwne fanaberye. Roboty im się przebiera, nie wiedzą już co wymyśleć.

Wtem w głębi lasu rozległ się strzał.

Tomasz zdrętwiał z przerażenia. Odrazu przyszedł mu na myśl pojedynek. Nieraz już woził różnych panów na takie awantury, ale to bywało w dzień wczes rano, nigdy w nocy. Nikt po ciemku przecież nie strzela, chyba rabuś albo zły człowiek. A może spotkał wilka i strzelił dla postrachu?

To przypuszczenie wydawało mu się prawdopodobniejszym i uspokoiło go trochę.

Wtem naraz z wiatrem, zalatującym od lasu, doszedł go jęk stłumiony.

Nie namyślając się dłużej, Tomasz puścił się prosto przez zagony ku lasowi w tym kierunku, z kąd go jęk doleciał.

Biegając zadyszany tu i tam, wreszcie pod skałą na kupie szerniałego śniegu, znalazł swego pana leżącego i charczącego. Przy niepewnym i mdłym świetle księżycy zobaczył twarz jego bladą, krwią oblaną.

– Na rany Boskie! co się panu stało? – spytał, nachylając się nad nim i chwytając go rękoma.

Naraz urwał, po prawej jego ręce namacał ciepłą jeszcze lufę pistoletu, która mu odpowiedziała na pytanie.

Pocziwy Tomasz zdrętwiał z przerażenia.

– Bój się pan Boga, coś pan zrobił? Czy to się godziło? A toż to grzech wielki!

Hulatyński nie odpowiadał. Leżał z przymkniętymi oczyma, bo nie śmiał patrzeć w oczy dorożkarza. Wstyd i upokorzenie, jakiego doznawał w tej chwili pomarszczyło mu czoło w ponure fałdy, nie wstydział się czynu, którego się dopuścił, tylko swojej niezgrabności. W stanowczej chwili ręka widocznie zdrząła, albo pistolet szarpnął, i strzał wyszedł bokiem, rozerwawszy policzek. Tego nie przewidział.

– Dobij mnie – wybełkotał niewyraźnie, bo krew zalewała mu usta i mówić przeszkadzała.

– A czy ja to zbój jaki? Niechże mnie ręka boska broni! Pan Bóg widać łaskaw na pana, skoro nie dopuścił stracenia duszy i ocalił pana.

Pociecha ta przeraziła rannego. Obiecywano mu życie, kiedy on śmierci pragnął, bo dalsze życie było według jego pojęcia niepodobieństwem.

– Zostaw mnie, idź precz! – zawołał gwałtownie, bo perswazyje Tomasza i jego obecność drażniły go.

Nie wiedział jeszcze, co pocnie z sobą, chciał jednak pozbyć się natrętnego świadka.

Ale Tomasz nie dał się tak łatwo odpędzić. Psa postrzelonego nie minąłby obojętnie na drodze, cóż dopiero jego, któremu zawdzięczał swój los, swoje szczęście?

Płacząc, zaczął go po rękach całować i uspakajać.

– Niech się pan nie martwi – mówił. – Ludzie nie dowiedzą się o tem, Tomasz umie milczeć. Zawiozę pana do siebie. Moja służyła w szpitalu i umie obchodzić się z ranami. Wygoi się i nikt nie będzie wiedział.

Hulatyński już nie słyszał tych wyrazów: upływ krwi odebrał mu przytomność. Tomasz z przestachem spostrzegł to i wziął się do ratowania. Przyłożył śniegu na twarz dla zatamowania krwi, obwiązał chustką. Robił to bardzo niezręcznie, bo był niewprawy i ręce trzęsły mu się z wzruszenia, ale ostatecznie obwiązał jako tako i owinął szalem.

Ból i zimno ocuciły chorego, jęczał cicho.

Tomasz wziął go na ręce, jak dziecko i zaniósł do powozu, – a potem noga za nogą ruszył do miasta.

### III

Dziwnego uczucia doznał Hulatyński, gdy po trzech tygodniach, które przeleżał nieprzytomny, w silnej gorączce, w mieszkaniu Tomasza, nareszcie przyszedł do siebie.

Izdebka, w której go umieszczono, jakkolwiek wybielona i porządnie utrzymana była mała, niska, ściany miała pogięte od starości, a jedno jedyne okienko z małymi szybkami, które wychodziło na rzeczkę Młynówkę, płynącą poza domem, zasłonięte jakimś kawałkiem zielonego perkalu, nadawało jej kolor zielonawy, brudny.

Hulatyński nigdy w życiu nie znajdował się w takim nędznym pomieszkaniu, przyzwyczajony do wspaniałych pokojów, dywanów, aksamitnych mebli, do zbytku i elegancji, ze wstrętem przyglądał się nagim ścianom i ubóstwu, które wyglądało tu z każdego kąta.

Nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie się znajduje. Nic bowiem nie pamiętał co się z nim stało od czasu, gdy po niefortunnym strzale upadł na ziemię w lesie Bielańskim.

Jak na nieszczęście, właśnie nie było nikogo w domu, coby go objaśnił. Tomasz, jak zwykle, wyjechał rano na miasto, a żona jego poszła na strych wieszać bieliznę. Nikt się więc nie pokazał, choć parę razy wołał. Ta cisza i pustka przerażały go. Ciemna izdebka wydawała się grobem, w którym on leży jak pogrzebany w letargu, zapomniany przez wszystkich.

Podniósł się z trudnością na łóżku, uchylił firanki i wyjrzał. Potrzebował przekonać się, że nie jest żywcem pogrzebany.

Widok, jaki zobaczył, nie wiele go rozweselił. Rzeczka w ocembrowaniu czarnych, przegniłych desek, płynęła tuż pod oknem, brudna, rudawa, a za nią ciągnął się z drugiej strony wysoki mur klasztorny, który nadawał miejscu pozór więzienia i rzucał cień ponury.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.